

Ewa Polak-Pałkiewicz\*

## „Binia” Elżbieta urządza na nowo Latyczów czyli: Sztuka siadania do stołu

Dlaczego samotna kobieta po czterdziestce, dobrze urodzona, światła i majątna podejmuje nagle decyzję, by zakopać się „na strasznej prowincji”? Co to za przypadek? Dziwaczki? Ekscentryczki?

Jest koniec lat dziewięćdziesiątych wieku XIX; miasteczko na Podolu, które wybiera, by pozostać tu do końca życia, jest nijakie i zaniedbane; taka sama odległość dzieli je od Lwowa i od Kijowa. A jednak bohaterka tej opowieści tutaj właśnie odnajduje na nowo sens życia, a jej dom staje się ośrodkiem życia całej miejscowości.

W mentalności dzisiejszej nie mieści się spokojne przyjmowanie zrządeń losu podobnych do tych, które stały się udziałem tej kresowej damy. Dziś głośno byłoby o rozpacz, buncie, o tym, że to niesprawiedliwe, że po czymś takim nie można się podnieść, że to może człowieka zabić... „Podolska Niobe”, Elżbieta z Dyakowskich *primo voto* Piasecka, *secundo voto* Drabowicz-Sławeńska, pochowała właśnie drugiego męża i ostatnie, dziewiąte ze swoich dzieci. Żadne z nich nie przeżyło okresu niemowlęctwa. „(...) wielbiona przez obu kolejnych mężów, zanim ukończyła czterdzieści pięć lat została zupełnie sama”, wspominała Elżbietę Drabowicz-Sławeńską,

---

\* Ewa Polak-Pałkiewicz, eseistka katolicka, pisarka – autorka wielu książek, m.in. *Ukraina, gdzie to jest? Dziennik roku wojny* (2023), *Cafe Katedra* (2019), *Powrót pańskiej Polski* (2016).

swoją cioteczną prababkę, prof. Anna Pawełczyńska, socjolog, autorka jej biografii.

Był rok 1880. Jako osoba wierząca w Boga, pani Elżbieta przyjmowała te wszystkie tragedie nie jako kataklizmy rujnujące marzenia o rodzinnym szczęściu, które odradzały się wraz z przyjściem na świat kolejnego dziecka, ale z realizmem osoby świadomej, że życie nie kończy się na doczesnym epizodzie.

„Wychowana starannie w rodzinnych Daszkowcach, nabyła w dzieciństwie wiedzę i umiejętności, które jej pozwoliły sprostać wszystkiemu, co życie przyniesie”, mówi Anna Pawełczyńska. „A przyniosło tyle obowiązków, ciosów, że trzeba było siły dębu, aby się pod nimi nie ugiąć. Ale w rodzinnym domu zarówno ona, jak i jej siostry słyszały często: »Nie ty jesteś najważniejsza«”. Słowo „służba” nie było jeszcze wówczas wydrwione, jako sentymentalne i „niedzisiejsze”; nie traktowano go też jako nic nie znaczący frazes.

Owdowiawszy, Elżbieta opuściła obie zasobne męzowskie siedziby. Zostawiła wygodny dwór Dyakowskich w Daszkowcach. Była więcej niż zamożna. Mogła zamieszkać za granicą, podróżować, „bywać”, korzystać z bogactwa i swobody, jak wiele pań jej sfery w podobnej życiowej sytuacji. Tymczasem osiadła na stałe w podupadłym i pozbawionym większych ambicji Latyczowie, położonym u ujścia rzeki Wołk do Bohu, na tzw. Czarnym szlaku (jednym z trzech, którymi Tatarzy najeżdżali ziemie Rzeczypospolitej). Niedługo miasto służyło jako siedziba Jana Potockiego herbu Pilawa, który ufundował tu kościół i klasztor jako wotum dziękczynne za swoje nawrócenie z kalwinizmu.

Elżbieta kupiła w Latyczowie dwór o dwunastu pokojach. Do historii tej wielonarodowej miejscowości przeszła jako polska pani, reprezentująca najlepsze tradycje starszylacheckie, a zarazem – jako bogaczka, która potrafiła do upadłego targować się o kopiejkę. Patologicznie skąpa?

Chorobliwie oszczędna? Zdziwaczała z powodu nadmiaru bolesnych przeżyć?

„Kiedy musiała pogodzić się ze swoim losem kobiety bezdzietnej i dwukrotnej wdowy, na parę dni tylko zamknęła się w kobiecym żalu. A gdy z niego wyszła, miała jasny umysł i jasne oczy”.

### Życie wśród „szansonistek”

„Dla wszystkich w Latyczowie *Grande Dame* i Jaśnie Wielmożna, tylko dla biednych Mości Dobrodziejka”, zaznacza autorka jej biografii. Wspaniałe powozy i wypielegnowane konie, staroświecki ubiór Elżbiety stały się symbolem odchodzącego świata polskich ziemian, bywało – wielkich oryginałów, a przy tym nierzadko ludzi z gestem i wyobraźnią serca.

Elżbieta „z marszu” zaczęła realizować w Latyczowie osobliwy plan. Założyła nieformalny, od nikogo niezależny dom dziennej opieki. Stała się jednoosobowym ośrodkiem pomocy społecznej oraz „centrum doradztwa”, jak byśmy dziś powiedzieli. Siedzibą był jej latyczowski dwór, w którym obiady gotowano codziennie dla kilkudziesięciu osób. Wspólnie ze swoimi podopiecznymi zasiadała codziennie do stołu nakrytego świeżym białym obrusem. Jako cel życia postawiła sobie opiekę nad samotnymi kobietami z miasteczka, a także nad bliższą i dalszą rodziną, której gorzej się powodziło. Stangret Marcin w eleganckiej liberii woził dzień w dzień na obiad jej „półrezydentki”, ubogie panie z Latyczowa. Dzieci z rodziny Elżbiety – zwanej wśród bliskich „Binią” – nazywały je, trochę złośliwie, „szansonistkami” albo „szczebiotkami”. Te, które były już zupełnie niesprawne, Marcin podwoził również co niedzielę do kościoła. Po latach do grona podopiecznych dołączyła jej własna służba: zasłużona kucharka, stara klucznica, która kiedyś biegła jak fryga po pokojach jako młoda pokojówka.

W kancelarii na parterze dworu Elżbieta codziennie przyjmowała interesantów – ludzi potrzebujących pomocy oraz swoich doradców. Zarządzanie dużym majątkiem i obszernym domem, który stał się czymś więcej niż tylko prywatną rezydencją samotnej wdowy, wymagało skrupulatności, mądrości, przezorności. Zaś finansowanie działalności dobroczynnej – zręczności i zapobiegliwości. „Binia” miała trzeźwy umysł i zdolności organizacyjne. I wielką siłę charakteru. W kontaktach ze swymi podopiecznymi była dyskretna i delikatna. Szanowała prywatność każdego człowieka, który do niej przychodził po wsparcie. Potrafiła mądrze doradzać. Umiała milczeć, nigdy nie wyciągała spraw, które jej powierzano w zaufaniu, na światło dzienne. Ale bywała też zaskakująco twarda, „tylko na tyle, by nie dać się złamać z bojaźni, ani ugiąć przed siłą”.

Żywo interesowała się życiem swoich siostrzeńców i bratanków, młodych ludzi z dworów gęsto rozproszonych po całej okolicy. Chętnie ją odwiedzali, bo było w niej coś męznego i pogodnego. Nie skąpiła dla nich czasu. Chciała poznać ich charaktery, zrozumieć trudności, by umieć im pomóc. Stała się powiernicą wielu z nich w trudnym okresie wczesnej młodości. Ufano jej. Ceniono jej stateczną mądrość, rozsądek i poczucie humoru. Latyczowski dwór, gdzie przemieszkiwały także na prawach rezydentek ubogie dalsze krewne i przyjaciółki, był miejscem podejmowania najważniejszych decyzji życiowych wielu z kręgu jej bliskich i podopiecznych.

### **Łyżka soku z malin i kieliszek żubrówki**

Gospodyni była chciwie ciekawa świata. Prenumerowała fachowe czasopisma z dziedziny rolnictwa, by móc zaskoczyć rzetelną, nowoczesną wiedzą przysłych dziedziców, swoich młodych kuzynów, dawać im niezdawkowe rady. Poszerzała wiedzę w najrozmaitszych „męskich” dziedzinach.

Zamawiała także książki, których lektura miała uchronić przed rusyfikacją jej przyjaciół, podopiecznych i krewnych. Były dostępne dla wszystkich mieszkańców Latyczowa, którzy chcieli po nie sięgnąć.

„Specjalnej dyskrekcji wymagała opieka i pomoc rodzinom, które cierpiały w wyniku carskich represji za udział kogoś z członków w powstaniu styczniowym lub za świeże próby polskiej konspiracji”. Hojnie wspomagała szczególnie tych krewniaków, którzy nie mogli się kształcić, bo dostawali „wilcze bilety” od carskich władz. Mimo że nie miała żyjącego potomstwa, „stała się seniorką rodu, osobą, do której mogli się zgłosić wszyscy z każdą trudnością i z każdą sprawą”. Nie tylko zresztą Polacy i nie tylko katolicy. Z wielkim gestem wspomagała Kościół.

„Babunia Binia wskazywała, jak należy żyć”, podsumowuje Anna Pawełczyńska. A trzeba dodać, że Elżbieta dla jej matki, młodzietkiej wówczas siostrzenicy, Zofii z Ruszczyców, miała szczególnie wiele sympatii i zaufania.

Często bywał u niej weterynarz, była zamiłowaną hodowczynią koni, bardzo o nie dbała. Ale nigdy w latyczowskim dworze nie widziano lekarza. Do końca życia leczyła siebie i podopiecznych sokiem malinowym, rumiankiem, aloesem i miętą.

„Systematycznie troszczyła się o własną duszę”. Dyskretnie i poza godzinami przeznaczonymi na codzienne obowiązki. Nie epatowała otoczenia wybujałą religijnością.

Choć nie gorszyły jej wady i przywary bliźnich, choć wyrozumiale traktowała wysoki młodego pokolenia, miała pewną słabość, która powodowała, że niektórzy jej się bali. „Nieraz wybuchała krótką gwałtowną złością... Nie tolerowała cienia chciwości, obłudy i kłamstwa”. Gdy ktoś został na tym przyłapany, po prostu wyrzucała go za drzwi. „Aby odzyskać równowagę ducha musiała czasem sięgnąć po ukrytą w kantorku butelkę i wypić kieliszek żubrówki”.

Jeździła powozem zaprzężonym w dwójkę lub czwórkę białych koni. Jej wyjazdy do miasteczka miały jeden cel – osobiste dokonanie zakupów dla podopiecznych. Odziana jesienią i zimą w futro do ziemi, tzw. dachy na popielicach (wewnątrz), pokryte futrem wilczym (które miejscami było wyliniałe i przetarte), niosąc ze sobą majestat i dumę wielkiej pani, uchodziła w miasteczku za osobę nieprzytomnie bogatą, a przy tym przeraźliwie skąpą. Targowanie się z żydowskimi sklepikarzami o każdą rzecz do upadłego stało się rodzajem cotygodniowego teatru, niepozbawionego nuty autoironii z obu stron. W targach tych i rytualnych przekomarzaniach uczestniczyła z reguły cała rodzina sklepikarza, a w letnie i wiosenne dni z okazji jej przejazdu przez główną ulicę Latyczowa właściciele sklepików wynosili na zewnątrz stoły i rozkładali na nich uroczyście swe towary, by Jaśnie Pani mogła je dokładnie obejrzeć i „stargować”. Przed drzwiami sklepików spożywczych widywano ją tylko wtedy, gdy nie była zadowolona z jakości produktów. Nie wysiadała wtedy z powozu. Właściciel wybiegał do niej i kłaniając się w pas przeproszał, sumitował się, obiecywał poprawę. O taką klientkę trzeba było dbać jak o źrenicę oka. Utrzymywała cały miejscowy handel – także lokalną wytwórczość – na godziwym poziomie.

### **Trumna „bez fanaberii”**

Przyszedł rok 1916. Wojna na Podolu jeszcze nie dawała się tak bardzo we znaki, zwłaszcza mieszkańcom miasteczka. „Babunia Binia” rozpoczęła gruntowniejsze niż kiedykolwiek wielkanocne porządki. Nie tylko wietrzono i porządkowano wszystkie pomieszczenia dworu, od piwnic po strychy, ale reperowano każdą sztukę ubrania, obrusy, bieliznę stołową i pościel. Nic nie mogło się marnować i niszczyć, bo mogło przecież komuś służyć. Wszystko podlegało ścisłej

segregacji, rzeczy sfatygowane i przetarte stangret wywoził do pobliskiej Podlatyczówki, gdzie specjalnie zatrudnione podopieczne Elżbiety szyły z nich dywaniki, zwane szmaciakami. Książki i pisma przydatne w prowadzeniu gospodarstwa zapakowano w osobne skrzynie, miały zostać wysłane do rodzinnego majątku gospodyni, do Daszkowic.

Po naradzie z notariuszem Elżbieta zawyrokowała, że rozdzieli swoje grunty pomiędzy dwójkę tylko ze sporej gromady wnuków (dzieci siostrzenic, siostrzeńców, bratanic i bratanków) tych, którzy najlepiej rokowali, jeśli idzie o należyte utrzymanie rodzinnej ziemi i rozwój gospodarstwa. Ziemia nie mogła dostać się w ręce ludzi lekkomyślnych, płochych, leniwych czy niewystarczająco wykształconych; była zbyt wielkim skarbem, okupionym zbyt dużą ofiarą. Ale to nie znaczyło, że Elżbieta bardziej kochała tę dwójkę niż pozostałych. Przeciwnie. Wezwała następnie do siebie ulubionych: Julka i Tadzia Dyakowskich, obarczając ich zadaniem nabycia odpowiedniej trumny.

„Trumna miała być solidna, dębowa, bez żadnych ozdób i fanaberii. A przede wszystkim miała być tania. Kazała ją za pół ceny stargować. Prześmiewca Tadzio doradził, że najtaniej można kupić używaną. Babunia Binia nie obraziła się za głupi dowcip, a nawet wdała się w dyskusję, której treść przez wiele lat bawiła całą rodzinę”. Trumnę ustawiono w stajni.

Jakby nigdy nic na Świętą Zofię w latyczowskim dworze wydano uroczysty obiad. Do stołu usiadło pięćdziesięciu podopiecznych Elżbiety, wśród których były trzy solenizantki, każdą obdarowano praktycznym upominkiem. Na wiosnę dworska szwalnia pracowała pełną parą, szyto nową odzież dla służby i ciepłe ubrania dla podopiecznych, już na przyszłą zimę.

A w lecie kolejnym dwóm wnukom powierzono specjalną misję. Zaopatrzeni w znaczną sumę pieniędzy mieli na prośbę „Bini” dokonać objazdu wszystkich cmentarzy, na

których znajdowały się rodzinne groby. Aż po Kijów i Besarabię, Werbkę Wołoską i Olgopol. Wszędzie mieli odwiedzić groby rodziny i dalszych krewnych i wręczać księdzu ofiarę na mszę za dusze tych zmarłych. Mieli także należycie zadbać o groby wymagające odnowienia. „Obaj chłopcy po raz pierwszy zaniepokoiłi się o babunię. Była szczodra i nie każała się targować”.

### Gdy zatrzymują się zegary

Boże Narodzenie obchodzono jak zwykle: przy ogromnym stole zmieścili się wszyscy: rezydentki i „półrezydentki”, powinowaci, służba i podopieczni z całego miasteczka. Karnawał był skromny.

W połowie zaś Wielkiego Postu 1917 roku „Babunia Binia ubrana uroczyście w najlepszą czarną suknię wezwała wszystkich domowników i obwieściła, że będzie umierać”.

Nie myślała tylko o sobie. „Zarządziła wszystkim, co kto ma zrobić. Kiedy poprosić księdza na spowiedź, Komunię św., i ostatnie namaszczenie, jak ustawić kwiaty i kiedy zapalić gromnicę. Pozdrowiła wszystkich w imię Boże, prosząc o przebaczenie, jeśli kogoś skrzywdziła, i o modlitwę za szykującą się do odlotu duszę. Potem wsparta o ramię Józefy i odprowadzona przez s płakane służące, poszła do sypialni, żeby położyć się do łóżka, a gdy przyjdzie czas – umrzeć”.

Nie minęło kilka dni, gdy wierna Józefa Czaykowska „zamknęła jej oczy i położyła na powiekach dwie srebrne monety”. Lustra we dworze zasłonięto kirem i zatrzymały zegary.

Modlitwy przy trumnie i pogrzeb kresowej damy zgromadziły setki ludzi. Nie tylko rodzinę i przyjaciół. Gdy rozpoczynała się Msza pogrzebowa, dzwony biły w kościołach i cerkwiach Latyczowa. Jak pisze Anna Pawełczyńska, „w tych porannych godzinach za duszę zmarłej proszono Boga we



wszystkich latyczowskich przybytkach wiary, a ciżby ludzi modliły się po polsku, ukraińsku, rosyjsku i po hebrajsku, a także po gruzińsku, ormiańsku, czeczeńsku i jeszcze w innych trudnych do nazwania językach”.

Wszyscy mieli nieodpartą wrażliwość, że jej śmierć została przez nią samą starannie wyreżyserowana. „Planując swoją śmierć, pogrzeb i stypę, bardzo chciała, by zebrana razem rodzina poczuła swoją siłę moralną, wspólnotę tradycji, wzmocniła więź wzajemnych obowiązków i sympatii. Takie były jej intencje, gdy zarządziła spędzić rodzinny na dzień swojego pogrzebu”.

To dzięki niej chlubnie pokończyły szkoły dwanaścioro dzieci jej siostry Ignacji Wróblewskiej, żony miejscowego lekarza społecznika i utalentowanej pianistki, która do skromnej pensji męża dorabiała lekcjami muzyki. Dzięki niej ład panował w całej rozgałęzionej rodzinie.

„Nie istnieją żadne substytuty moralności, honoru i lojalności, ani same dla siebie, ani jako materiał poetycki”, mawiał urodzony o pokolenie później poeta angielski Roy Campbell (po swoim nawróceniu na katolicyzm, nagle „zapomniany” i pomijany przez krytykę, który w drugiej połowie życia osiadł wraz z rodziną w małej portugalskiej wiosce; zawsze występował publicznie w obronie tych, których pozycja była słabsza, nie ulegając żadnym romantycznym złudzeniom i modom).

„Binia” Elżbieta rozdzieliła swój majątek (nie zapominając o ubraniach, meblach, obrazach, srebrach, pościeli i kosztownych drobiazgach) nie tylko pomiędzy najbardziej potrzebujących w rodzinie. Ponad trzydzieści imiennych legat przeznaczyła dla byłych służących, praczek, rezydentek, leśników i najuboższych mieszkańców Latyczowa, którzy nie mogli liczyć na wsparcie bliskich. Obdarowała nimi także pięciu latyczowskich księży, nie zapominając o matce jednego z nich i o wychowującej się bez rodziców siostrze.

Wspomogła miejscowe kościoły i kaplice, a także główną synagogę w Latyczowie, Komitet Biednych Żydów, a w Warszawie Kasę Wdów i Sierot, przytułek Schronienie Nauczycieli, szpital dziecięcy i Komitet Poszkodowanych przez Wojnę.

Wielki majątek został w całości pochłonięty przez potrzeby bliższych i dalszych, a nawet zupełnie nieznanym osobom, wtedy gdy dusza latyczowskiej opiekunki biednych i samotnych w spokoju przestępowała próg wieczności.

\*\*\*

Opowieść ta nie byłaby kompletna – ani prawdziwa – gdybyśmy pominęli historię wizerunku Patronki tego miejsca, Królowej Podola i Wołynia. Tak nazywano Matkę Boską z cudownego obrazu w Latyczowskim kościele oo. Dominikanów. Obraz był kopią słynnego wizerunku Maryi Salus Populi Romani (Ocalenie Ludu Rzymskiego) z rzymskiej bazyliki Santa Maria Maggiore.

Dominikanie otrzymali ów cenny dar wraz z błogosławieństwem na pracę misyjną od papieża Klemensa VIII, pod koniec XVI w. Przywieźli obraz do Latyczowa, gdzie Jan Potocki herbu Pilawa (1552-1611) obok swojego zamku wznosił kościół i okazały klasztor. Zakonników sprowadził na prośbę żony, sam bowiem był kalwinem. Dopiero gdy ojcowie przywieźli obraz, który stał się tu przyczyną licznych cudów, nawrócił się na katolicyzm i zdecydował się ofiarować prywatną kaplicę w zamku, by służyła kultowi Matki Bożej. Sfinansować także budowę klasztoru (wznoszony był w latach 1613-1638).

Latyczów, ze względu na położenie przy centralnym szlaku wschód-zachód, nie zaznawał prawie nigdy spokoju; wielokrotnie palony przez Tatarów, zajmowany i łupiony przez Kozaków Chmielnickiego, napadany przez hajdamaków, niszczone w czasie okupacji tureckiej (ucierpiał wtedy znacznie budynek klasztoru).

Liczne udokumentowane cuda, jakie za przyczyną Pani Latyczowskiej miały tu miejsce, stały się powodem decyzji Piusa VI (1778 r.) o koronacji cudownego obrazu. Gdy wybuchła rewolucja bolszewicka, ukrywany był w prywatnych siedzibach miejscowego ziemiaństwa. Wrócił do klasztoru, gdy w roku 1918 Latyczów zajęli Austriacy. Po wkroczeniu do miasta bolszewików umieszczono go za kotarą. Podczas wyprawy kijowskiej wrócił na główny ołtarz. Zwycięstwo nad bolszewikami 1920 roku przypisywane jest opiece Królowej Podola i Wołynia.

W tym samym roku władze kościelne zdecydowały się jednak wywieźć wizerunek z obawy przed zbezczeszczeniem przez bolszewików – znalazł się w katedrze w Łucku, gdzie otoczony był wielkim kultem.

W roku 1939 o. Jan Kucharski, proboszcz latyczowskiego kościoła, i grupa wiernych zostali zesłani na Syberię i do Kazachstanu. Świątynię zamieniono na stajnię koni kołchozowych. W klasztorze zainstalowało się kolejno NKWD i Gestapo. Wielu ludzi w okrutny sposób zamordowano w podziemiach klasztoru.

Po 1945 r. Sowieci urządzili w kościele magazyn zboża i materiałów budowlanych, klasztor przeznaczono na szwalnię, karczmę i warsztat kamieniarski. W czasach Breżniewa zapadła decyzja o wysadzeniu latyczowskiego klasztoru w powietrze. Uratować go miał urzędnik z „kijowskiej architektury”, który pochodził z Latyczowa.

W trwającym trzy dni pożarze w roku 1984 zginęła ocalała reszta wyposażenia świątyni, w tym bezcenne freski i organy.

W roku 1989 parafianie, nie bacząc na oficjalny zakaz, weszli do świątyni. Odprawione zostało pierwsze nabożeństwo po pięćdziesięciu bez mała latach. W ten sposób sanktuarium zostało przez katolików odzyskane; czasy niepodległej Ukrainy przyniosły także zwrot zabytkowego klasztoru.

Oryginał cudownego obrazu Matki Boskiej został potajemnie wywieziony z Łucka w 1945 r. (z obawy by nie doszło do kradzieży bądź profanacji) przez zakonnice w świec-  
kich strojach w wagonie towarowym. Obraz znajduje się dziś  
w Lublinie, w kaplicy Zgromadzenia Służek NMP.

Cytaty za: Anna Pawełczyńska, *Koniec kresowego świata*, Lublin 1998.